

Otwarta pętla – Mont Blanc – część 2/2

tekst: M.Mazur (XII 2019)

wyjazd miał miejsce w lipcu 2015

Część 1/2 tutaj:

[Gran Paradiso \(4061\) – jak miał na imię pies Lucky Luck'a?!](#)

Część 2/2:

Mont Blanc czy Monte Bianco

Już w drodze z Polski dużo rozmawiamy o tym czego się spodziewamy; jak wygląda trasa, historie o miejscu z „rolling stones” i o tym, jak Dziku z Agą byli na Blancu kiedyś zimą i nie wiedzieli, że w schronie na 4200 prawdopodobnie dokładnie wtedy były tam zwłoki jakiegoś nieszczęśnika, którego odnaleziono po kolejnych kilku dniach. Takie i inne wesołe historie sprawiły, że wręcz nie mogłem się doczekać naszego wejścia. Dziku wspomina, że kiedyś z inną ekipą wchodzili od włoskiej strony i jak bardzo to wejście jest nieprzyjazne, słucham i myślę sobie, żeby tylko nic się nie wydarzyło co będzie kazało nam wchodzić od włoskiej strony.

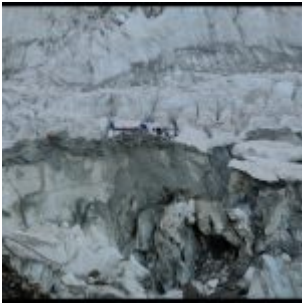
Dojeżdżamy do Chamonix, w informacji dowiadujemy się, że droga na szczyt jest zamknięta bo luźne kamienie spadają i jest niebezpiecznie, szybka decyzja – jedziemy do Włoch i wchodzimy od tamtej strony (sumienie podpowiada mi znowu „o ja cię...”).

<http://dzikumaniak.pl/wp-content/uploads/2016/12/montebianco.mp4>

Kilka godzin i kilka tuneli później jesteśmy po drugiej stronie gór i rozbijamy obóz na polu kempingowym Courmayeur

jakoś tak na 1500 m n.p.m. Przygotowujemy sprzęt i siebie, Dziku się martwi, Aga mnie opieprza że mam przykurcze mięśni i mam się rozciągać, Grzechu pomaga mi ogarnąć pęknięte raki i jak je powiązać żeby dały rade. Znowu rozmawiamy o tym co może pójść nie tak, tym razem same przyjemne tematy jak np. to, że niektóre szczeliny maja po 100 metrów, a niektóre maja nie wiadomo ile. Ćwiczymy wykorzystanie prusików w przypadku gdyby trzeba było samemu się wydostać ze szczeliny. Pierwszy raz dociera do mnie, że tu można umrzeć.









Startujemy na drugi dzień rano, podjeżdżamy kawałek samochodem, żeby nie człapać bez sensu asfaltem i wchodzimy na szlak. Wygodny i szeroki, wyraźnie oznaczony prowadzący do czoła lodowca Miage. W drodze tutaj nasłuchiwałem się trochę o tym miejscu i o tym, że nasz wspólny znajomy Tomek swego czasu przeklinał ten lodowiec wszystkimi znanymi ludziorom przekleństwami a nawet wymyślił kilka nowych. Zapowiada się ciekawie pomyślałem kiedy zobaczyłem ostre podejście po luźnym boku lodowca. Nie wiem co sobie wyobrażałem ale słysząc „lodowiec” miałem w głowie coś innego. Długa ponad 5km droga po krajobrazie księżycowo-marsowym. Lodowiec jest pod spodem, pod warstwą kamieni niczym sernik pod kruszonką. Słowo „Kamienie” nie oddaje dobrze tego jak wygląda ta droga, bo niektóre kamienie są wielkości buta, niektóre lodówki a jeszcze inne samochodu marki Nysa. Drogi szukamy przez wynajdywanie kopczyków z kamieni, które ktoś przed nami ułożył, Dzik pokazuje nasz cel – schronisko Gonella, które ze względu na blaszaną elewację nazywamy „żelazkiem”. Jest ledwo widoczne z tej odległości i mocno demotywujące bo co jakiś czas zerkam na nie, ale nie widzę żeby się powiększało. Człapiemy przez lodowiec słysząc wodę pod nami i kamienie, które spadają razem z topiącym się pod nimi lodem i naszym po nich łożeniem. Bez większych przygód, choć cholernie łatwo było głupio skrócić kostkę na tym lodowcu, (którego dobre prowadzenie matki zakwestionował przed nami kolega Tomek a ja dołożyłem od siebie co nieco) dochodzimy do ostrego podejścia. Technicznie łatwe, dobrze ubezpieczona trasę cały zespół pokonuje dość sprawnie, ze śpiewem na ustach niemal, za to ja przechodzę piekło, nie da się pozytywnymi myślami wejść na

szczyt, góra weryfikuje wszystko bezlitośnie, za każdy nieprzepracowany dzień przed przyjazdem tutaj przychodzi mi teraz słono zapłacić. Na mnie plecak z żarciem, namiot, lina, inny sprzęt, przede mną jeszcze kawał drogi a w bidonie koniec wody. Słyszę ją jak spływa gdzieś między skałami, ale nie da się do niej dostać.

Lipcowe słońce ostro operuje, jest pomiędzy 12 a 13 godziną, cienia nie ma a przed nami jeszcze spory kawałek. Dochodzimy do schroniska i padam, myślałem że tylko w głowie sobie to mówię, ale jednak powiedziałem to na głos, że w życiu nie byłem tak zmęczony. Jestem na siebie cholernie wkurzony, czuję się słabo i jestem słaby, zaczynam się poważnie obawiać czy dam rade wejść na szczyt. Z pomocą przychodzi pogoda i zmusza nas na zostanie ponad dobę w schronisku. Mieliśmy czas na odpoczynek, w schronisku znalazłem polska książkę o wypadkach w górach, bardzo ciekawa lektura po tym ja już tu się dostałem. Pozytywnie nastrajające tematy jak historia o tym jak grupa ludzi połączona liną dla asekuracji, zaczęła się ześlizgiwać z ostrego zbocza lodowca raniąc się nawzajem rakami na nogach i czekanami. Znalezione wszystkich martwych, wciąż związanych razem jedna liną. Aga, Grzesiek i ja gramy w karty a Dziku się martwi. Kolejny raz sprawdza sprzęt i liczy ile mamy zapasów jedzenia, sprawdza co godzinę pogodę na metoblue i to się uspokaja to ma minę jak tato łobuza przed wywiadówka. Dla mnie to jest coś bardzo uspokajającego, widzę że jeśli jest ryzyko to on o tym wie i nie powinniśmy być zaskoczeni żadną sytuacją. To daje duży spokój głowy, bo skoro on się martwi to my możemy odpocząć.

Startujemy po dwóch noclegach, jest nieźle, trochę odpoczęliśmy, pogoda zapowiada się dobrze na kolejne dni. Połączeni liną idziemy w szyku – Dziku, Aga, Grzesiek i na końcu ja. Droga, która była wyznaczona na mapie jest jedynie sugestią. Dziku idzie z przodu i wyszukuje możliwej drogi przejścia i szczelin, które można przeskoczyć żeby nie nadrabiać drogi. Trochę frustrujące jest to, że czasami

idziemy 20-30 minut w górę, po to żeby trafić na ślepy zaułek w labiryncie szczelin i wycofywać się w dół. Cel to wysokość około 3600-3700 tam chcemy rozbić namioty i z tego miejsca startować na finalny atak. Lina trzyma nas razem, nie ma miejsca i czasu na opierdzielanie się, zaczynają mięknąć mi nogi. Kilka razy muszę przystanąć zatrzymując całą ekipę. W pewnym momencie klękam na jedno kolano i mówię że muszę odsapnąć. Grzesiek proponuje że weźmie namiot, ja nie chce! Czuję, że przegrywam z górą, nie chce całkiem się poddać. Dziku podchodzi bez słowa odpina namiot od mojego plecaka przytracza do swojego, który ma i tak mocno objuczony i startujemy dalej. Nie mam siły protestować, każdy kilogram mniej to zbawienie. Nigdy nie zapytałem go co wtedy miał w głowie, czy było to „cholera jasna z mięczakami” czy może „ok jesteśmy zespołem idziemy razem” ale w tym momencie zobaczyłem, że prawdziwych przyjaciół poznaje się wtedy, gdy wezmą na siebie ciężar, który sam na siebie sprowadziłem, a którego nie dam rady udźwignąć.

Docieramy na około 3700 m, gdzie w okolicach dużego kamienia znajdujemy kawałek wypłaszczenia wystarczającego na rozbić dwóch namiotów. Alpejskie gęsi wyścigowe w trójkę idą na zwiad, ja proponuje ofiarnie, że zostanę popilnować sprzętu (zadanie o tyle łatwe, że nie spotkaliśmy nikogo na trasie i jesteśmy chyba jedynymi, którzy atakują z tej strony).

Idzie rak i gówno z tego.

Startujemy w nocy, jest ciemno, zimno, mięśnie ciągle bołą, bigos lyo nie ułożył się dobrze, ogólnie „w górach jest wszystko co kocham”. Docieramy do ostrej grani, po której okrakiem jak po szczycie stromego dachu powoli krok za krokiem posuwamy się do przodu. Nie jesteśmy spięci liną bo jedna osoba spadając pociągnęłaby za sobą cały zespół. Jest ciemno, ale widzę, że i z lewej i z prawej strony pobłyskujący w czołówce lód znika w ciemnościach. Jest tak stromo że spadając nie ma żadnych szans na zatrzymanie się przy pomocy czekana. Wiele razy myślałem o ryzyku w górach, o tym co robić by nie

wpakować się w kłopoty, ale pierwszy raz miałem myśli w głowie że jeśli popełnię błąd, jeśli się zachwieje, ucieknie mi noga albo stanie się coś nieprzewidzianego to nie tyle będę miał kłopoty co umrę! Szansa na przeżycie upadku była znikoma lub zerowa. Kostki zaczynają mnie boleć od nienaturalnej pozycji, a w głowie ciągła myśl „czy raki wytrzymają”.

Wreszcie koniec! Przeszliśmy przez tę dramatyczną grań i wchodzimy już na 4000 metrów i wielką otwartą przestrzeń. W oddali widać czołówki ekip startujących od francuskiej strony i blaszany schron. Docieramy do niego koło 6 rano wchodzimy na chwilę, żeby wciągnąć delikatne śniadanie i odsapnąć. Mój organizm zapragnął zostawić w tym miejscu po sobie coś, co za tysiące lat będzie analizowane przez archeologów. Ekipa nie może czekać bo marznie, więc ja staram się jak najszybciej dokonać ostatecznego aktu zbeszczeszczania góry pozostawiając za sobą kupę w kibelku przy Vallocie. Kiedy w końcu zapinam wszystkie warstwy i uprząż, widzę że daleko przede mną są małe punkciki, to ekipa tak wyrwała do przodu. Biegli cholera czy co?! Staram się ich dogonić, ale we znaki daje się wysokość. Dziku poczekał chwilę i do niego udaje mi się dojść, Aga z Grześkiem mocno na przodzie. Powyżej 4500 m każdy krok jest trudny, mówię Dzikowi, że muszę odsapnąć, on ze spokojem odpowiada że teraz nie odpoczywam, że tu na stojąco tracę energię i musimy iść. Przechodzę w tryb 50 kroków. Spuszczam głowę w dół, patrzę pod nogi, skupiam się tylko na kolejnym kroku i liczę do 50. Po odliczeniu przystaje na chwilę ale Dziku jest krok za mną i każde 5 sekund dłuższego postoju powoduje, że to delikatnie mnie klepie po ramieniu to chrząka znacząco. Z boku musiało to wyglądać jak kat prowadzący skazańca na szafot. Patrzę co jakiś czas przed siebie i widzę że jest! Jest szczyt! dostaję kopa energii bo przecież to już tu, już za chwilę. Żeby ze wściekłością zobaczyć że to taki przedwierzchołek i teraz trzeba zejść w dół, żeby znowu się wdrapywać.

Szczyt i zejście

31 lipca 2019 roku około 9 rano zdobywamy Mont Blanc. Na szczycie kupa radości, piękny widok, mroźny wiatr ale bardzo dobra widoczność, udało nam się wejść w jednym czasie więc uściski, gratulacje i wspólne fotki i startujemy w drogę powrotną. Mijamy dzikie tłumy, przewodników targających na linie klientów za nimi, duże i mniejsze grupy, w kilku miejscach musimy czekać bo jest ruch wahadłowy. To mnie trochę zaskoczyło, nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo popularny jest pomysł żeby zdobyć „Dach Europy”.

Powtórny horror z ostrą granią, tylko tym razem jest jasno i widać to co w nocy czuliśmy – otchłań z lewej i prawej strony. Bez sensu! W filmach bohaterowie zdobywają górę krzyczą, cieszą się i są napisy końcowe a tu cholera jeszcze kupa męki przed nami. Bez przygód, ale wciąż z maksymalnym skupieniem docieramy do namiotów. Są wczesne godziny popołudniowe, znowu coś mnie ciągnie z dala od tej góry, chce już być na dole, bezpieczny, z daleka od szczelin, grani, lodu i przepaści. Namawiam resztę żebyśmy startowali, uczucia są mieszane, ale jak to w demokracji większość zmusza mniejszość i startujemy. Aga nie czuje się najlepiej, chce zejść niżej, ale rozbić namiot gdzieś na Miage i zostać na noc. Dziku martwi się pogodą, ja chce być już w bezpiecznym namiocie, ale daleko od tego lodowca. Człapiemy powoli rozciągamy się w szyku, ja zostaje z Agą z tyłu żeby tym razem być przydatnym jako podtrzymywacz na duchu.

Ciemną nocą docieramy na pole namiotowe, dogadujemy się z właścicielami żeby nie rozbijać namiotów tylko przespać się na podłodze w jadalni. Praktycznie w momencie naszego wejścia na jadalnię zaczyna się ostra ulewa i pada całą noc, ale my jesteśmy pod dachem, jest ciepło, jesteśmy najedzeni.

Po co?

Po ponad 4 latach, gdy pisze tę relację, zastanawiam się po co mi to było? Sprawdzić siebie? Pokonać ograniczenia? Zrobić coś z czego będę dumny? Nic z tego nie było głównym motywem tego

wyjazdu, chcieliśmy razem przeżyć przygodę i razem pokonać górę. Ten cel osiągnięty został całkowicie.

Uwielbiam góry, pokonywanie ich i siebie ale nie znam kogoś kto tak kocha góry jak Dzik i Aga, potrafią jechać 15 godzin samochodem w nocy z czwartku na piątek, żeby zdobyć kolejny szczyt i jeszcze w niedzielę na kolację wrócić do domu.

Bardzo chciałem zobaczyć góry ich oczami, zrozumieć dlaczego tak bardzo ich ciągnie tam gdzie zimno, głodno i niewygodnie. Uzależniające jest poczucie przestrzeni, odległości nie tylko do kolejnego etapu wspinaczki ale również od problemów, które wydają się być absolutne i ostateczne a z wysokości stają się szumem. Pracując przez 16 lat w firmie, która jak każda w jej rozmiarze stara się wdrukować w głowę to, że czerwone wskaźniki w arkuszu Excela czy raport w postaci 10 slajdów prezentacji jest największym problemem świata, który zatrzyma się jeśli ten pierwszy nie będzie zielony a prezentacja nie będzie miała animacji.

Zdecydowanie wrócę w Alpy, nie dla zaliczania szczytów na liście, ale dla powtórki przeżycia tego poczucia braterstwa i jednego prostego wspólnego celu przed nami. Zostało mi w głowie wciąż tyle obrazków z tej wyprawy, ale jeden z najsilniejszych to skoki przez szczelinę. Grzesiek przede mną pokonuje tę przeszkodę, wybiera luz liny przybiera postawę mocniej wbijając się w śnieg rakami i daje lekkim skinieniem głowy sygnał. Ten gest mówi wszystko – jestem gotowy, możesz mi zaufać, jeśli będzie trzeba złapie Cię, albo pójdę za Tobą. Takich ludzi na końcu liny potrzebujemy w naszym życiu, którzy bez słowa przejmą nasz ciężar gdy ukłękniemy pod jego wagą, albo będą tuż za Tobą, żeby dać Ci impuls do parcia naprzód.

tekst: M.Mazur

Mont Blanc „Drogą Papieską”

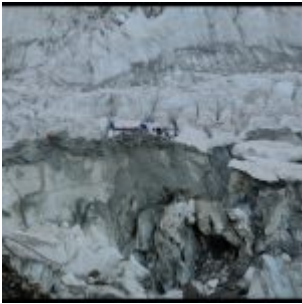
Cel – Monte Bianco (4808 m n.p.m.)

Kiedy – 25-31 lipiec 2015

Kto – Dziku & Aga & Grzechu & Marcin

Tekst i zdjęcia – Dziku









Piszą w periodykach

Droga na Mont Blanc od strony francuskiej przez ostatnie tygodnie jest „zamknięta”. Nie wiem dokładnie na czym w praktyce polegało to zamknięcie (szlaban? tabliczka? drut kolczasty?) , ale na pewno było to podane do publicznej informacji. Zresztą, zerknijmy do sieci:



A więc co najmniej 2 wypadki śmiertelne w „kuluarze śmierci” pod Gouterem. Why? Spadające kamienie. Why? Because ciepło. Bardzo ciepło – czasem zero stopni dopiero na 4800 metrach. Czyli podsumowując: rosyjska ruletka przy pięknej pogodzie na „najłatwiejszej” drodze. Na tej, co to nią ponoć dzieci i staruszki wchodzi. Przynajmniej w opinii tych, co o zdobywaniu alpejskich szczytów wyobrażenia nie mają i tyle wiedzą, ile na niefachowym portalu wyczytali. A jak się kiedyś wybiorą to się przekonają, co to znaczy względność. Bo podczas akcji górskiej wszystko jest względne. Jedno i to samo może pomóc i zaszkodzić. Nadmiar i niedobór jedzenia, wychłodzenie i przegrzanie, towarzystwo i brak towarzystwa, strach i odwaga. Jedynie nie potrafię dla odwodnienia dobrać pary. Bo w górach nie da się wypić za dużo. No chyba, że przypomnę sobie wmuszanie we mnie przez Agę kubka herbaty na Kazboku, co się

natychmiastowym ryzykiem skończyło.

Którędy na szczyt

My nie chcemy przekładać wyjazdu i zamknięciem francuskiej drogi wcale się nie przejęliśmy. Weszliśmy na Mont Blanc w 2009 od strony włoskiej – wejdziemy i teraz.

W składzie oprócz mnie: Aga, Grzechu i Marcin. Doświadczenie alpejskie: od „zielonka” do osób doświadczonych. Oczywiście mierząc to miarą ilości wyjazdów i wejść na alpejskie szczyty, bo raczej nie miarą obycia ze sprzętem. Ja i Aga to zgrany duet, na koncie mamy już sporo szczytów. Wśród największych przygód wymienię taniec z czterotysięcznikami na Monte Rosa w 2011, zimowe wejście na Mont Blanc w 2012 oraz picie herbatki na 7134 m n.p.m. w 2013. Ta zimowa przygoda z Mont Blanc to skończyła się dobrze jedynie jakimś fartem. Wtedy się nie bałem, a dziś myśląc o tym boję się jak diabli i nie sądzę, bym się drugi raz na coś takiego pisał.

Słabą stroną naszego duetu jest to, że jesteśmy teraz małżeństwem, więc czasem kłócimy się o duperele. Ale bez przesady – w końcu góry to to, co nas połączyło, i to na tyle mocno, że zaledwie tydzień lub dwa tygodnie przed tym wyjazdem począł się nasz syn. Sam się począł, bo trochę nieplanowanie. Dlatego też na wyjeździe, który tu opisuję jeszcze nie mamy o tym pojęcia.

Kolejny członek ekipy to Grzechu, dusza bardziej podróżnika niż alpinisty. Ale to gość, który w ostatnich miesiącach wszedł na 3 pięcioletysięczniki. Najpierw przykładowie z ekipą zaliczył Kazbek w Gruzji, a następnie ekipę i sprzęt odesłał do domu, a sam, w *sandałach* (jak to Grzechu) wszedł na Damawand i Ararat. Przygód z tego wyjazdu mógłbym słuchać i słuchać. Zresztą do tej pory jak widzę bigos z Lyofooda to przypomina mi się Grzech, któremu bigos ten na wysokości wylaływał wszystkimi otworami, łącznie przez nos.

No i Marcin – harcerz z Bieszczad. Marcin jest trochę jak Laura w 2009 roku, kiedy to też wchodziliśmy „Drogą Papieską”. Czyli bez doświadczenia wysokogórskiego, ale wspaniale zmotywowany i silny. Różnica jedynie taka, że Laura to raczej

sportsmenka, a u Marcina z regularnym treningiem to w tym okresie było nie po drodze. W każdym razie pokazał, że można wejść na najwyższy szczyt Alp stosując trening polegający na chodzeniu w gumiakach z psem wokół domu.

Etap aklimatyzacji na Gran Paradiso na razie pominię i skupię się na wejściu na ten główny cel – Monte Bianco.

Start

27-go lipca przyjeżdżamy na pole namiotowe do Courmayeur. Mamy już z trasy okazję zerknąć na nasz cel od południowej strony. Kawał bydlaka:



Mont Blanc od południowej strony

Na polu namiotowym robimy szkolenie pt. „jak wyjść ze szczeliny”. Nikt z nas jeszcze ze szczeliny nie wychodził, ale tak na chłopski rozum to można sobie wyobrazić jak to jest i co należy zrobić: w pierwszej kolejności należy ściągnąć buty i skarpetki, następnie rozebrać się do bokserek, zawisnąć w uprzęży i zapierając się o drzewo wołać do przejeżdżających samochodów.



Szkolenie lodowcowe

Tak, teraz możemy spać spokojnie i na drugi dzień bogatsi o zdobytą wiedzę ruszyć do boju. Ale najpierw to pojedziemy na pizzę, bo w końcu to Włochy.

Rano 28-go lipca podjeżdżamy nieco samochodem, po czym ruszamy z wyładowanymi plecakami. Początkowo droga do Combal – wygodna, szeroka, przejezdna dla samochodów. Potem wdrapujemy się na lodowiec morenę lodowca Miage – tu zaczyna się nasza droga krzyżowa. 5km człapania i wyszukiwania drogi wśród olbrzymich bloków skalnych i drobnej kruszyny, które wypełniają każdy fragment lodowca. Pod kamieniami lód i szczeliny, do których spadają trącone głazy. Dziś jednak jesteśmy wypoczęci i zmotywowani widocznym na skale punktem – to schronisko Gonella (3071 m). Nasz cel na dziś to dotrzeć do niego i gdzieś w jego pobliżu rozbić namioty.

Po przeczłapaniu lodowca Miage mamy do pokonania 500 metrów przewyższenia wspinając się ubezpieczoną stalowymi linami i kłamrami ławą drogą wspinaczkową. Łatwą dla ludzików z lekkimi, małymi plecaczkami, my niestety znów dźwigamy toboły. Może nie jesteśmy tak drastycznie dociążeni jak w 2009, ale i

tak wory powodują duży dyskomfort. Błędem było nie zabranie wody do bidonu u wejścia w skałę. Letnie słońce dało popalić i kiedy po paru godzinach docieramy do schronu Marcin jest praktycznie odwodniony. Wiele by dał za kroplę płynu, lecz niestety po drodze skały były zupełnie suche i nie minęliśmy żadnego cieką wodnego. Marcin przeżył na końcówce traumę, natomiast Aga zadowolona – podobało jej się to karkołomne podejście, pomimo sporego obciążenia na plecach.



W odnowionym schronie przy schronisku Gonella zostajemy przez dwie noce. Potrzebujemy regeneracji, poza tym pogoda nie zachęca do wyjścia wyżej. Nie znalazłem też w pobliżu żadnego miejsca na namiot, więc nie było wyboru – decydujemy się zapłacić za 2 noclegi. Tylko, że... naszym zwyczajem – nie mamy gotówki! Marcin nas ratuje, bo dokonuje operacji i akrobacji by przetransferować pieniądze z konta na konto innego schroniska. Ci potwierdzają, że przelew dotarł i uff... nikt nas na deszcz i na lodowiec nie wyrzuci, a my możemy spędzić cały następny dzień na graniu w gry typu robaczki, karciany tysiąc i Dobble.

Odmieniony lodowiec

Jest przedostatni dzień lipca 2015 roku. Kluczemy między szczelinami, coraz mniej pewni siebie. Przeżywam, że lodowiec po raz kolejny nam sprawia niespodzianki. Już w 2009-tym stwierdziłem, że opisy drogi sprzed lat można do szczeliny wrzucić. Teraz w 2015-tym to znów inna bajka. Czemu tu się dziwić, skoro tak stromy lodowiec jak ten każdego dnia wygląda nieco inaczej, to coś dopiero, kiedy się go widzi raz na 6 lat. Parokrotnie znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, szukając wyjścia z labiryntu szczelin. Jeden moment szczególnie zapadł mi w pamięci, kiedy to stojąc na olbrzymich lodowych blokach dotarliśmy w ślepy zaułek. Nie sposób było przeskoczyć na drugą stronę i musieliśmy wrócić niżej by poszukać innej drogi. Podczas całej tej eskapady nie zrobiłem ani jednego zdjęcia. Byłem tak skupiony prowadząc grupę, że nie chciałem niczym się rozkojarzyć. Zresztą, najnormalniej w świecie bałem się. Chcę okazać górze najwyższy respekt, a manewry między szczelinami z aparatem w ręce mogłyby wyglądać nieco lekkomyślnie. Zresztą, sytuację w jakiej się znaleźliśmy w pełni oddałbym tylko filmując nas z wysokości, np. z drona.



Ludzie na takim lodowcu to drobinki

Obóz

W końcu docieramy w pobliże grani i rozbijamy obóz pod kamieniem, który jest rozmiarów naszego namiotu. Jest to wysokość około 3700 m, jednak czujemy pozytywny wpływ aklimatyzacji i troje z nas decyduje się popołudniu na dalszą wspinaczkę. Zwiad ma na celu odnalezienie drogi na przełęcz Aig. Grises (3810 m) i przejście kawałka grani w celu oceny warunków. Sprawa nie jest taka oczywista, jakby się wydawało. Lodowiec znacznie „osiadł” i aby przedostać się z niego na przełęcz, trzeba trochę pokombinować. Istotna informacja jest również taka, że nikt poza nami (podobnie jak to było w 2009 roku) tą drogą na szczyt w tym czasie nie wchodził. Jedyne ślady jakie widzieliśmy to te, które zostawił przewodnik z klientem schodzący na włoską stronę. Wejścia na szczyt dokonali oni normalną drogą od Chamonix. Ci jednak kluczowe miejsce ze szczeliną oddzielającą nas od stromego lodu prowadzącego na przełęcz pokonali zeskakując na niższy poziom. My do góry na kilka metrów nie podskoczymy, a przewieszony lód

skutecznie broni się i nie puszcza nas dziabiących go prostym czekaniem. Ostatecznie decydujemy się na wejście żlebem od prawej strony. Pokonujemy ten paskudny teren z sypiącymi się kamieniami i skręcamy w prawo w kierunku grani Bionassey. Sam szczyt Aiguille de Bionnassay (4052 m) przed nami prezentuje swoje wdzięki niczym Beyonce na okładce płyty, a doskonałym uzupełnieniem widoku jest dwójka wspinaczy podążająca krawędzią grani.



Bionassey nazwaliśmy Beyonce

Penis na lodowcu

Wracając ekscytujemy się widokiem naszego namiotu na powierzchni lodowca pod nami. Ale zaraz, co to? Za namiotem widzimy zarys wielkiego członka wydeptanego w śniegu. Małutki z tej odległości Marcin człapie po jego konturach. Musiał się nasz przyjaciel lepiej poczuć, skoro podjął się tak ryzykownego i twórczego zadania. Aga krzyczy z całych sił, by wrócił do namiotu, bo do szczeliny wpadnie. Marcin niechętnie

zawraca, a jak nam później się zwierzył, było mu smutno bo nie wydeptał kropki na końcówce. No to by było tyle, jeśli chodzi o nieurażanie góry. Zmartwiłem się przez chwilę, że góra się za to zemści, ale przecież Mont Blanc nazywany jest... Białą Damą! Taki małunek to nie kręgi w zbożu, więc powinien się Damie spodobać a wręcz ją ułaskawić.

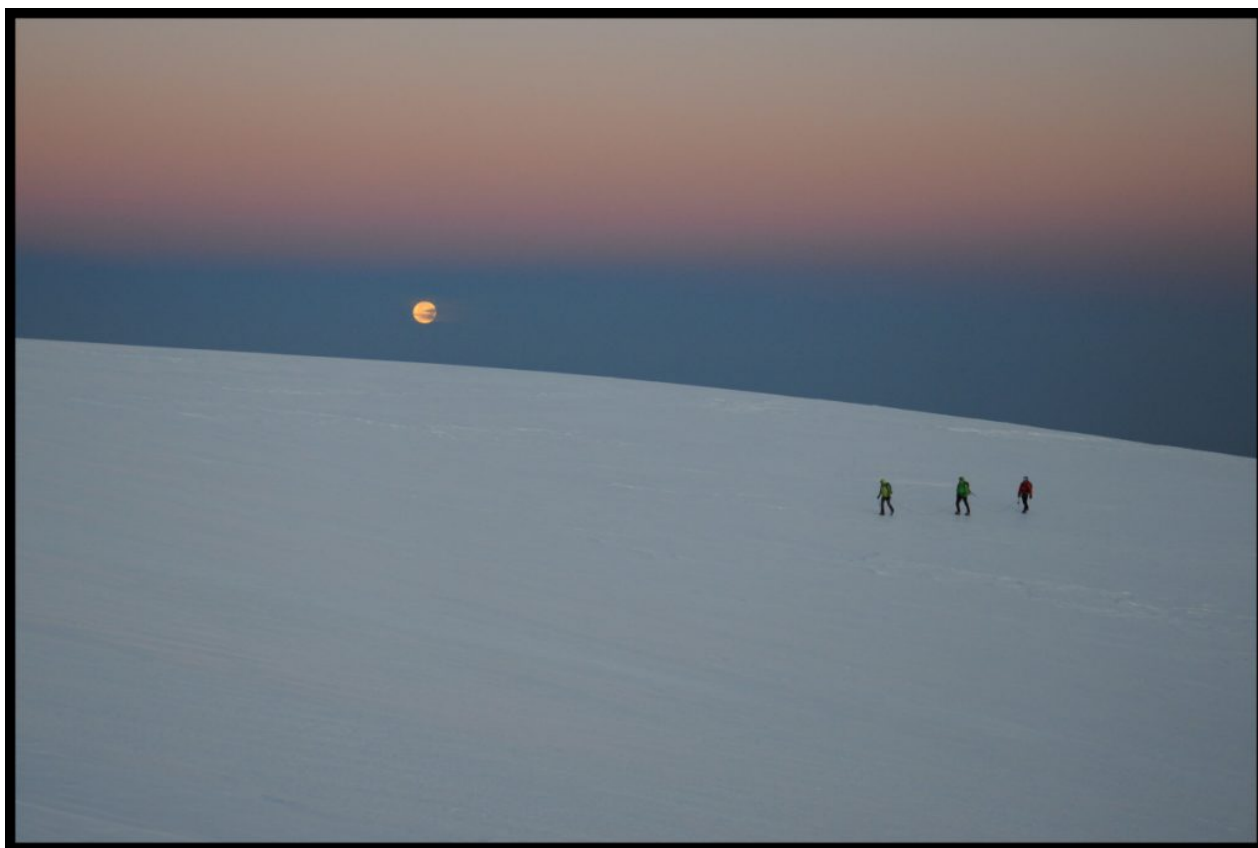


Widok z namiotu

Atak szczytowy

Nad ranem przeprowadzamy atak szczytowy. Jeszcze po ciemku wchodzimy na przełęcz i pokonujemy ostry jak brzytwa fragment grani. skalna gran! Idziemy niezwiązani liną, więc każdy odpowiada za siebie. Trzeba najostrożniej jak tylko się da stawiać każdy krok. Pomimo ciemnej nocy mamy świadomość pustki pod nogami. Potknięcie, upadek wiązałby się z lotem setki metrów w dół, nie do przetrwania w jednym kawałku. Po wyjściu na plateau na wysokości 4 tysięcy metrów teren nie wydaje się być już niebezpieczny. Białe pole pięknie oświeśla księżyc, a

niebawem nasza droga połączy się z tą od strony Gouter. Tam już widzimy sznur czołówek, gdyż jak się okazuje wczoraj odblokowano trasę i ponownie ruszyły tamtędy liczne ekipy. Najbardziej teraz dokucza wysokość. Już koło godziny 6-tej stoimy przed Vallotem. Tutaj Marcin zostaje na dłużej ze względu na kupę. Ta kupa mogła całkowicie pokrzyżować plany, ponieważ opóźnienie z nią związane fatalnie wpłynęło na psychikę właściciela. Kiedy zdyszany uporał się z uprzężą, zobaczył dwa oddalające się punkciki – to Aga i Grzechu stąpający już po grani Bossons. Pomiędzy nimi a Vallotem kolejny punkt – to Dzik robiący zdjęcia. Jak tam dojść? Jak ich dogonić? Ten kryzysowy moment jednak przezwycięża i krok po kroku zbliża się do upragnionego celu. Ten ostatni odcinek sprawia mu sporą trudność, ale cóż się dziwić – jesteśmy powyżej 4500 m i w płucach po każdym kroku brakuje tlenu. Wydolność organizmu na tej wysokości spada o kilkadziesiąt procent nawet u zaaklimatyzowanej osoby.



Krajobraz księżycowy

Przed 9-tą stajemy na szczycie. Nie pamiętam już dokładnie co wtedy czułem, ale na pewno mocno ścisnęło mi gardło. Choć od początku wiedziałem, że Marcin da z siebie wszystko, żeby osiągnąć szczyt i że jest on niezwykle silny i wytrzymały, to jednak rozpiera mnie duma widząc, czego dokonał. Ściskamy się i gratulujemy, lecz z tyłu głowy wciąż kołacze się myśl, że przed nami długa i niebezpieczna droga w dół. Na ostateczne ogłoszenie zwycięstwa przyjdzie czas przy samochodzie. I w życiu bym się nie spodziewał, że nastąpi to jeszcze tego samego dnia, że wieczorem wykończeni znajdziemy się na parkingu 3300 metrów niżej.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”

Powrót

Ze szczytu schodzimy tą samą drogą, jednak teraz zamiast księżyca świeci nad nami słońce. Zejście granią nie stanowi problemu, chociaż pamiętam poślizgnięcie i zachwianie się Marcina, które mogło się skończyć tragicznym upadkiem gdzieś

do stóp góry po włoskiej stronie. Grań Bossons, którą przechodziłem już kilkakrotnie nie stanowi jakiegoś specjalnego zagrożenia. Nie ma na niej niebezpiecznych nawisów i jest na tyle szeroka, by mogły się na niej mijać zespoły. Jednak należy być tam nieustannie czujny i nie można dać oszukać psychiki, tym bardziej, że przy zejściu zwykle spada koncentracja i następuje rozluźnienie. Dodatkowo w naszym przypadku nadal kontynuujemy marsz w stylu [„z pogardą dla sprzętu”](#), tzn. idziemy niezwiązani liną. Ma to szczególne znaczenie po dojściu do ostrej grani prowadzącej na przełęcz Grises. Tutaj idziemy lodowym stokiem tuż poniżej ostrza grani, stok jest stromy a nasze kostki niemiłosiernie powyginane. Jestem zestresowany poczwórnie – jeśli ktoś się poślizgnie, potknie – to dla tego kogoś koniec. Na zatrzymanie się na takim stoku pojedynczej osoby szanse są znikome. Jeśli ześlizgnąłby się cały zespół szarpnięty przez linę, która go wiąże – szanse oceniam jako zerowe. Dlatego idziemy wiedząc, że należy skupić się na sobie i tylko na sobie. A dokładnie na tym, jak stawiamy stopę, jak zęby raków wbijają się w lód. Jednak idąc jako ostatni i obserwując swoją kompanię nie potrafię pozbyć się uczucia troski o nich. Wyciągam aparat i robię zdjęcia. Inaczej niż to było na lodowcu tym razem nie widzę nic w tym niewłaściwego. Teraz droga jest jasna i każdy wie co ma robić i niewiele ode mnie zależy.



Decyzja

W końcu dochodzimy do przełęczy i szybko schodzimy do namiotów. Tutaj śmiechy i popas – odpoczynek, obiad i regeneracja, zakłócone jedynie kamienną lawiną. To była sytuacja dziwna, warta wzmianki. Bo kiedy tak chłopaki żartowali przed namiotem a ja z Agą oporządzaliśmy się w wejściu do naszego lokum – nagle zobaczyliśmy jak oni w niekompletnym ubraniu i bez butów zbiegają w dół lodowca. Zdezorientowany rozglądam się i widzę jak powyżej, zaraz obok miejsca, którym wchodziliśmy na przełęcz spadają skały. Lecą w kierunku namiotów, lecz znikają w szczelinie brzeżnej. Chłopaki po kilkunastu krokach zatrzymują się i wracają. Jesteśmy nadal bezpieczni. Ale czy na pewno? Ktoś podejmuje decyzję, że lepiej jeszcze dziś zacząć schodzić. Jest godzina 14-ta... czemu nie?

Nowa pozycja w apteczce

Lodowiec pokonujemy w dół bez większych problemów. Schodząc jest z reguły łatwiej, bo więcej widać i łatwiej się szczeliny

przeskakuje. Dochodzimy do schroniska Gonella, gdzie para turystów pakuje się z plecakami do helikoptera zaparkowanego na platformie. Kusi mnie by zapytać o miejsce dla Agi, jednak nie podejmuję się takich pertraktacji z pilotem. Helikopter odlatuje i za chwilę wysadzi turystów w mieście, podczas gdy my... właśnie wchodzimy na naszą drogę krzyżową. Pokonujemy 500 metrów przewyższenia po skałach i śniegu i schodzimy na lodowiec Miage. Po paru kilometrach Aga się ledwo wlecze. Proponuje nocleg pod kamieniem na tym skalnym rumoszu. Wybijamy jej to z głowy ze względu na kiepską prognozę pogody. Co, jeśli w nocy zacznie lać i będzie padało cały dzień następny? Aga nie daje za wygraną i nie chce kontynuować marszu. Doprowadza mnie tym do szału, bo choć też jestem bardzo zmęczony to kieruję się głównie logiką. Definicji słowa empatia wyszukam dopiero po powrocie do domu. Ale nawet, gdybyśmy zsumowali empatię naszą, tzn. trzech facetów, to nie jesteśmy w stanie poczuć się w skórze Agi, której zachowanie nietrudno wytłumaczyć ze względu na...

Wskazówka i morał: w apteczce każdego alpinisty powinien znajdować się obok plasterków i koca termicznego – test ciężowy!

Już w zupełnych ciemnościach docieramy do asfaltu. Pakujemy się do auta i jedziemy na pole namiotowe. Leje deszcz więc rozkładamy się na karimatach na podłodze baraku jadalni.

Epilog

Głównym motorem napędowym tego szalonego zejścia i pokonania 3300 metrów przewyższenia był Marcin. Ten manewr był o tyle ważny, że ulewa, która zaczęła się w nocy była niemiłosierna. O prognozie wiedzieliśmy, ale żeby zdobyć się na taki wysiłek w zejściu trzeba było czegoś więcej. Dziś nawet Aga przyznaje, że była to dobra decyzja. Marcin był osobą, która dała impuls do organizacji tego wyjazdu, w którym 4 osoby od początku zaprogramowane były na świetną zabawę i sukces. Sukces okupiony wielkim wysiłkiem psychicznym i fizycznym. Po co? Bo

jak pisał Wiktor Ostrowski w 1935 roku:

Trzeba przynajmniej raz zakosztować życia, w którym wszystkie wartości są odwrócone: pieniądz ma nie większą wartość niż otaczające Cię kamienie, rzeczy ważne przestają Cię obchodzić zgoła, liczysz tylko na siebie, a zamiast wszystkich tomów kodeksów praw masz tylko jedno, jedyne, ale to niezłomne prawo – BRATERSTWO LINY, którą jesteś w czasie podniebnej wędrówki związany z towarzyszem-przyjacielem!

Relację tę kończę pisać o dosyć nietypowym czasie, tzn. o godz. 23:55 w dniu 31.12.2018, tym samym ożywiając wspomnienia i życząc sobie w Nowym Roku kolejnych górskich przygód tej klasy.

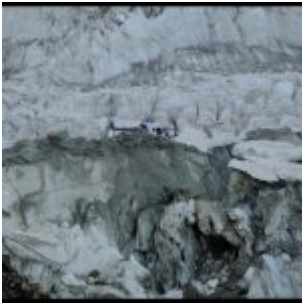
Dziku



W komplecie na szczycie

Korona Beneluksu i kolacja z Księżciem







Holandia – ucieczka przed depresją

Wyjeżdżamy rano z Larochette w Luksemburgu i ciśniemy prosto na północ, przez Belgię do Holandii. Chociaż 1/4 terytorium tego państwa znajduje się w stanie depresji, to my szukamy tam gór. Zatrzymujemy się dopiero na wierzchołku Vaalserberg. To właśnie tam znajduje się najwyżej położony punkt na terytorium Holandii. Jego wysokość to 322 m n.p.m.

Szczyt ten uznaję już teraz za najbardziej przyjazny dzieciom ze wszystkich w Koronie Europy! Znajduje się na nim duży plac zabaw, można też tam poganiać się w labiryncie lub zjeść dobre frytki. 20 metrów od miejsca oznaczającego najwyższy punkt znajduje się trójstyk granic Holandii, Belgii i Niemiec.

Belgia – 7-tysięcznik w centrum Europy

Następnym naszym celem tego dnia jest czubek Belgii. I choć godzinę temu w Holandii Michał biegał i bawił się na najwyżej położonym placu zabaw w całym kraju, to teraz nie zamierza nawet nosa wychylić z auta. Nie dziwię się, bo temperatura na zewnątrz to jakieś 11 stopni, na dodatek paskudnie wieje. A i widoki... no takie jak na parkingu pod restauracją przy asfaltówce. Szczerze powiedziawszy spodziewałem się większych emocji po 7-tysięczniku. Ale zaraz zaraz... ktoś w programie Paint przecinek przesunął! Oszukano nas! W dodatku Signal de Botrange w rzeczywistości nie dobija nawet 700 m n.p.m. Lecz sztucznie podwyższono go usypując dodatkowe 6 metrów. Nic to, punkt zaliczony a my możemy udać się po cel nr 3 na dzisiaj – najwyższy szczyt Luksemburga. I tam to dopiero będzie akcja.

Luksemburg – skutki braku aklimatyzacji

Wcześniej na nawigacji ustawiłem punkt, w którym zdawało mi się znajdziemy nasz cel. Jednak kiedy tam dotarliśmy coś mi nie pasowało. Niby wysokość się zgadza, niby to ten cały Buurgplatz, którego szukałem, ale miał tu być w trawie kamień pomalowany na biało i go nie widzę. W dodatku Marysia puszcza pawia. Nie jestem przesądny, ale to musi coś znaczyć. Wykorzystuję koło ratunkowe i dzwonię do siostry. Asia

cierpliwie szuka informacji i czyta mi na głos. Dzięki jej wskazówkom docieramy na pobliskie wzgórze. Przy największych krzakach znajduję biały punkt. Aga mi nie wierzy, „to naprawdę to?!”. Pytam syna, czy wyjdzie zrobić sobie zdjęcie na szczycie. On jednoznacznie oznajmia mi, że nie jest zainteresowany. Tymczasem Marysia zaczyna cisnąć kupę. Tak, to musi być ten najwyższy punkt, a jej reakcja jest zapewne spowodowana wysokością. Zdobyliśmy Kneiff – 560 m n.p.m.

Epilog – kolacja z księciem

Dojeżdżamy do Larochette na nasze pole kempingowe na oparach. Nie chodzi o benzynę, ale o Agi cierpliwość w zabawianiu dzieci na tylnym siedzeniu. Na dodatek tuż, tuż przed domem widzimy objazdy. Łamię zakaz i jadę na kemping przez pola (jesteśmy w Luksemburgu, więc jadę po równiutkim asfalcie, tyle, że jest wąsko, jak na dwa auta). Nie wiedziałem, że objazdy są z powodu przyjazdu książęcej pary. *Jak się okazało potem, Wielki Książę Duke Luksemburski, nie bacząc na swoje urodziny i obchody rocznicy niepodległości Luksemburga postanowił przyjechać do Larochette i wspólnie z nami uczcić zdobyte przez nas szczyty.* Na ogłoszeniach na polu kempingowym czytam: darmowe drinki i barbecue do godziny 21:30. Czyli ktoś mu podpowiedział, o której my się do łóżek kładziemy.

Niestety my już sobie odpuścimy tę fetę ze względu na dzieci. *Duke niemalże zrozpaczony, przyjmuje jeno z wdzięcznością życzenia urodzinowe i podziękowania, jakie mu sms-em wysłałem. Azaliż fatygował tu małżonkę, rad niechybnie, że nas razem poznają. Tudzież dzieci krzyczą, trza pieluchy przebrać. Na pewno zrozumie. A i nie omieszkał go do naszej Malezji zaprosić, jak będzie w okolicy. Na jajecznicę z najbardziej swojskich jajek, bo swoich.*

PS. Na pamiątkę, co gazety w tym dniu piszą: „Not getting any rest on his official birthday, Grand Duke Henri is expected here at 6pm for a procession and vin d’honneur. The Grand Duke will be joined by his wife, Grand Duchess Maria Teresa. After

the Grand Ducal couple leave Larochette to join the festivities in Luxembourg city, the celebrations in the picturesque town are sure to turn more rambunctious.”

No byle by nie za grand głośno było, bo trza odpocząć po zdobyciu 3 grand szczytów Korony Europy jednego grand dnia. Michał dziś może się pochwalić w sumie 4-ma z listy ([pierwsza była Litwa](#)), a Marysia tymi właśnie trzema. Może zdążę z nimi połowę Korony zrobić zanim powiedzą stanowczo, że górami to oni zainteresowani nie są i lepiej żebym telewizor do domu kupił. Na razie nie mają wiele do powiedzenia. Właściwie, to jeszcze nie umieją mówić.

Kebnekaise zimą, czyli Szwecja na zielono

Prolog

Sobota rano, lotnisko we Wrocławiu. Na nim Dzicza rodzinka w komplecie: Aga, Dzik i „Młody obywatel świata”. Po chwili przyjeżdża też Asia, którą Wizzair na tym wyjeździe uczyni przyrodnią matką Michałka. Dzik i Asia targają po pełnym worze mieszczącym się w przepisowych 23 kg. W worach znajdują się rakiety śnieżne i inne sprzęty potrzebne za kołem polarnym. Do tego wszyscy mają po bagażu podręcznym. Łącznie z Michałkiem, którego możnaby do tego jego bagażu całego zmieścić. Na odprawie ochrona pyta Agi, czy w bagażu dziecka jest scyzoryk. Aga zaprzecza, a Pan celnik odgarnie pieluchy i wyciąga Victorinox. Michałek nic nie mówi, patrzy w dal udając, że nic o nożu nie wie.

Misja Kebnekaise

W Szwecji witają nas Rafał i Iwonka – współwinowajcy całego zamieszania, bo choć Dzik o wyjeździe do Kiruny i wejściu zimą na Kebnekaise od wielu lat myślał, to jednak nic w tym kierunku nie robił – jeno pogodę sprawdzał. Jak już Asia o to samo zagadała to było prawie pewne, że coś z tego pomysłu wypali. Asia to taka osoba, przy której realizacja pomysłów jakoś łatwiej przychodzi (i umie dobrze wyszukiwać tanie loty). Trzeci członek misji „Kebnekaise” to wspomniany Rafał, którego chwilowa emigracja to znak, że jest to odpowiedni moment na takie przedsięwzięcie.

Na najbliższy tydzień Aga i Michałek zostają u Iwonki, gdzie rozwinie się jednostronna przyjaźń między małym człowieczkiem i dużym psem – bokserem.



Nasza trójka już następnego dnia leci za Koło Polarne – do Kiruny. Przed odlotem samolot jest pokrywany jakimś środkiem, prawdopodobnie coś na niskie temperatury panujące na północy. Z samolotu podziwiamy zimowy krajobraz: wielkie pływające kry, zamrożone jeziora z torami do testowania samochodów, ośnieżone góry. Po ok. 1,5 h lądujemy na ośnieżonym lotnisku w Kirunie. Zupełnie biała płyta i stojący na niej samolot zasługuje na selfie. Następny etap to autobus z lotniska do miasta. Płacimy za niego milion szwedzkich pesos, po czym po 10 minutach jazdy wysiadamy, bo zobaczyliśmy centrum handlowe. Jeszcze wszystkich sklepów nie zdążyli otworzyć a już im się łądują galerianki z Polski. Co nas tak na te zakupy pognało?

Otóż gaz do palników trzeba kupić. Tak, żeby potem śniegu natopić i mieć co jeść i pić.



Ogrzać się na zapas

Kupujemy 5 kartuszy (zużyjemy niecałe 2) i na nogach przechodzimy resztę trasy do miasta. Dokładnie tą samą trasą, którą przejechał wcześniej autobus, który na własne żądanie opuściliśmy. Wszędzie dookoła leżą góry śniegu a mi przychodzi do głowy obraz widziany we Wrocławiu – dwójka dzieci z sankami na brudnym trawniku pokrytym grudami błota pośniegowego, w dodatku tuż przy 3-pasmowej ulicy.

Do odjazdu autobusu do Nikkaluokty mamy kilka godzin. Rozkładamy się w Centrum Kultury w rynku. Jest ciepło, jest toaleta, jest WIFI. Trzeba się nakorzystać bo wieczorem będziemy już w namiocie topić lód na herbatę. Więc Rafał korzysta z grzejników, żeby wysuszyć plecak (podczas lotu wylała się w worze woda z przebitej butelki). Ja korzystam z toalety – na zapas. Asia standardowo korzysta z WIFI. Ona

kiedyś napisze przewodnik – „Szlakiem darmowych WIFI na dalekiej północy”.



Kiruna

Wykorzystujemy ten czas również do poznania historii miasta i zwiedzenia drewnianego kościoła. W środku jakoś inaczej – rzeźby i ołtarz w drewnie, brak zdobień, złoceń. Na ołtarzu wielki obraz przedstawiający łąki i las oświetlone przez słońce. Siły natury budzą tu na północy respekt. Trzeba się w ten trudny klimat wpasować, nie ma sensu z tym walczyć. Dlatego tutejsze dzieci od urodzenia spędzają czas na powietrzu, jeżdżą z rodzicami na nartach lub skuterami śnieżnymi w doczepionych przyczepkach. Dziś w Polsce w święta dzieci najpierw obrzucają się co najwyżej starymi liśćmi, a potem dopiero obejrzą prawdziwy śnieg w tv – w filmie „Kevin sam w domu”.

Na koniec wizyty w kościele mamy okazję zobaczyć, jak wygląda

tutaj obrzęd chrztu takiego kiruńskiego bobasa. Potem wracamy do centrum. Nasze plecaki stoją nietknięte. Wszystkie bagaże zostawiliśmy podsunięte pod ścianę w miejscu publicznym. Kto miałby nam je ruszyć i po co? Kradzież? Obok stoi komputer i drukarka. Na stoliku naklejona kartka: „Używaj tego komputera swobodnie, w budynku jest też darmowe WIFI. Jeśli potrzebujesz wydrukować bilet lub kartę pokładową, wyślij plik na podany adres email i wydrukujemy go dla Ciebie za darmo”.



Zorza polarna

Popołudniu mkniemy oblodzoną szosą w kierunku Nikkaluokty. W autokarze tylko nasza trójka. Kierowca nie przejmuje się warunkami na jezdni i pędzi jak szalony. Przyjeżdżamy o czasie i po przepakowaniu i założeniu rakiet – o 16:30 wyruszamy w długi marsz pod Kebnekaise. Już po 1,5h jesteśmy przy domkach nad jeziorem. Po ciemku rozkładamy namiot i chowamy się do śpiworów. Topimy śnieg, jemy obiad, pijemy herbatę. Robi się bardzo zimno. Do wyjścia z namiotu nie zachęca nas nawet zorza

polarna. Robię niewyraźne zdjęcia wychylając jedynie głowę i stawiając aparat na plecaku.

Wydechana para gromadzi się nad naszymi głowami w postaci lodowych, zbitych w kupki igiełek, które opanowują strefy wokół głów oraz oklejają wiszące pod sufitem 3 pary okularów. Nie wiem jak te śnieżne twory fachowo nazwać więc będę na nie mówił białe kurzyki. Przypominają mi osady z sadzy na piecu, czyli w tym przypadku czarne kurzyki.



Zimny start

Temperaturę mierzymy dopiero koło 8-mej rano, już po wschodzie słońca. Wynosi ona -24 stopnie. Ostro na początek.

Po spakowaniu biwaku wchodzimy na jezioro. Mimo słońca nie mogę rozgrzać stóp. W górach często kopię rakami o stok, żeby pobudzić krążenie, więc tu wpadam na podobny pomysł i kopię rakietami o podłoże. Szybko dokopuję się do twardego lodu. Kiedy parę godzin później wróci krążenie okaże się, że potłukłem sobie palce w jednej ze stóp. Uciążliwe, ale nie

bardzo, więc dla pewności przy pakowaniu parę dni później sobie poprawiam: upuszczam rakiety na gołą stopę i w ten sposób osiągam cel i do dziś mam całkiem fioletowego paznokcia. Ta-dam!



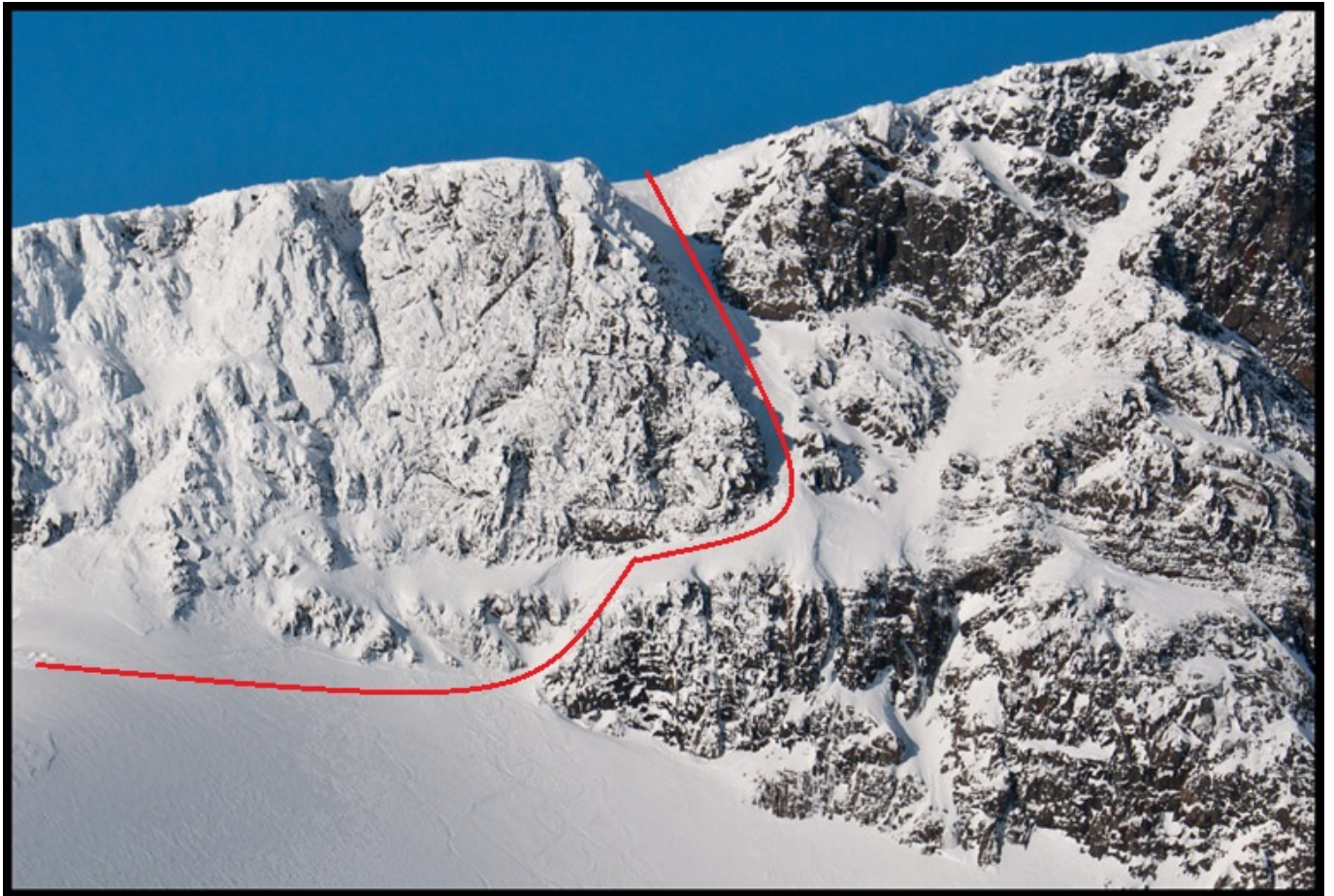
Przy pięknej, bezwietrznej pogodzie już po paru godzinach szybkiego marszu wchodzimy do schroniska Kebnekaise Fjallstation. Tam napełniamy termosy wrzątkiem, jemy liofy i ruszamy w dalszą drogę. Biwak rozkładamy dopiero przy wylocie żlebu prowadzącego na lodowiec pod Kebenkaise. Noc już zdecydowanie cieplejsza, ale nie na tyle, żeby ustawiać na kamieniach aparat i robić zdjęcia. Tzn. nie dla mnie, ale jest na to sposób – zmieniam ustawienia na aparacie i daję go Asi, która odważnie wychodzi ze śpiwora i robi piękne ujęcia namiotu na tle gór i rozgwieżdżonego nieba.

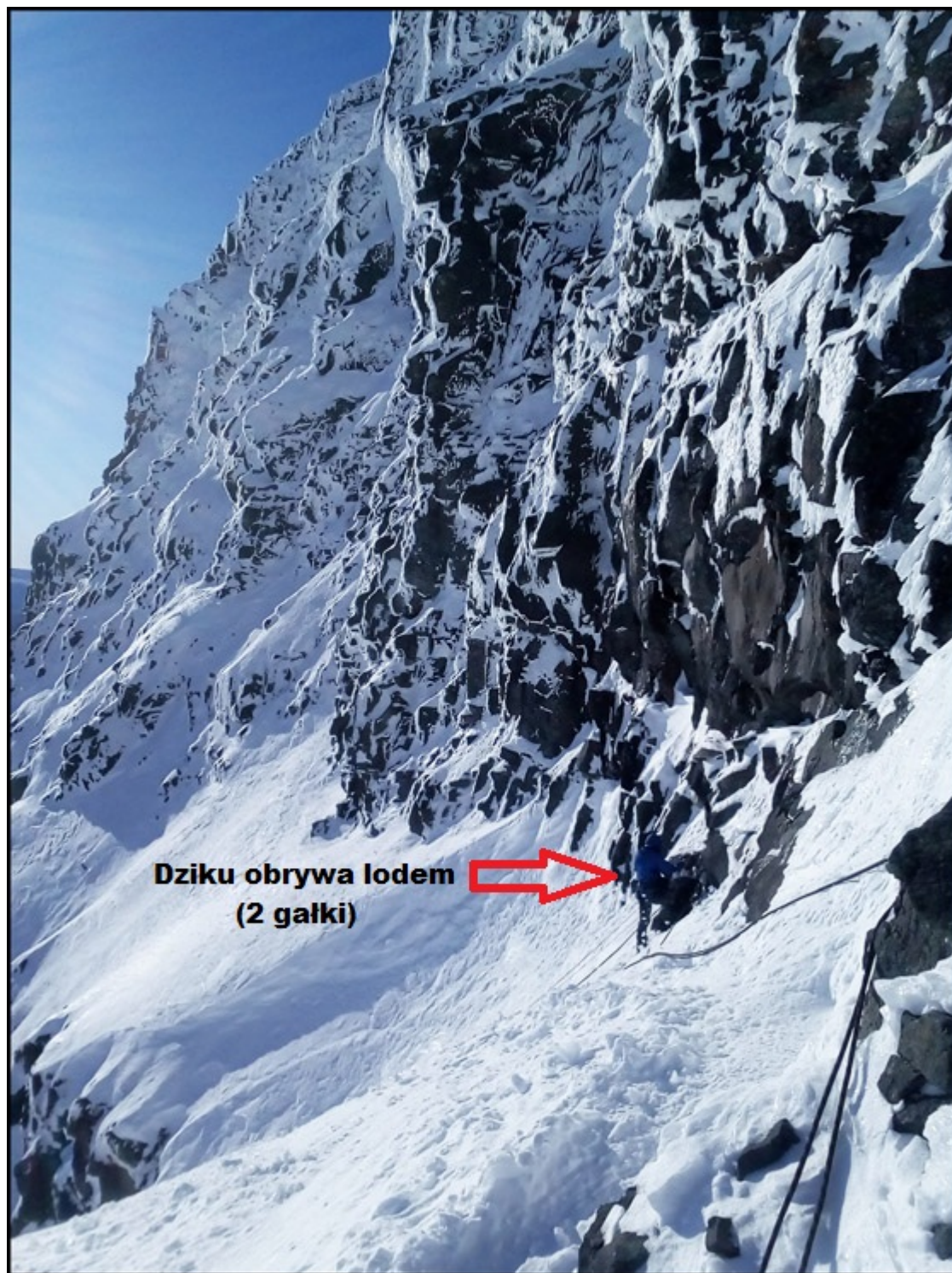


Atak szczytowy

Rano koło 7-mej ruszamy żlebem w górę. Następnie przecinamy lodowiec i grzbietem podchodzimy pod znacznie krótszy, ale bardzo stromy żleb prowadzący na plateau pod szczytem. Tu robi się niebezpiecznie. Pewności siebie dodaje poręczówka założona w ostatnich dniach przez przewodników. Na prowizorycznych lonżach podchodzimy do góry. Pokonując najbardziej stromy

stopień spadają na nas kawałki zamrożonego śniegu. Dostaję jednym w głowę i żałuję, że nie mam kasku. Dochodzę do punktu i przymocowuję linę. W tym czasie Rafał już mnie bezpiecznie minął i prze do góry. Kiedy asekuruję liną Asię spada mi prosto na ręce zamrożona bryła wielkości głowy. Adrenalina skacze. Asia przechodzi trudność i szybko opuszczamy to miejsce. Dalej po stopniach wybitych w stromym śniegu wgramolimy się do wylotu żlebu.





Kebnekaise

Wędrując po plateu dochodzimy do jednej, a potem drugiej chatki. Nie czas teraz na odpoczynek. Rafał już zmierza w kierunku śnieżnej, niepozornej kopułki i pierwszy staje na szczycie. Zaraz potem dołączam ja z Asią. W oddali jeszcze efektowniej prezentuje się północny wierzchołek. Asia wraca do chatki a my idziemy granią dalej. Ja już tu raz 8 lat temu pod

szczytem byłem i zawróciłem może 300 metrów od południowego wierzchołka, więc teraz żadnemu z nich nie odpuszczę. Grzech by to był – przy takiej pogodzie.



Bez problemu pokonujemy eksponowaną z jednej strony grań i po 20 minutach robimy sobie zdjęcia na tylko odrobinę niższym wierzchołku północnym. Wracając mądrzę się przed Rafałem i tłumaczę jak się po grani chodzi. Jak się tak rozwodzę to schodzę z wydeptanej ścieżki i widzę nagle przed sobą wcięcie w grani. Jeśli zrobiłbym jeszcze parę kroków spadłbym w parusetmetrowe urwisko. Pokora, pokora i jeszcze raz pokora. W chatce Asia już gotuje śnieg na liofa. Najpierw się posilimy, a dopiero potem zaczniemy schodzić do wylotu żlebu. Nie śpieszymy się, tym bardziej, że wymagana jest koncentracja. Ubezpieczając się lonżykami i dodatkowo związani liną schodzimy bezpiecznie na dół. Teraz to już tylko długi spacer do namiotu. Próbuję zjechać na tyłku, ale jest za małe nachylenie... ach! Gdybym miał jabłuszko!



Zwiady

Na drugi dzień podchodzimy z Asią pod Tuolpagorni. Dochodzimy do skalnego stopnia i zaglądamy na lewo wychylając się zza skał. Przechodzą mnie dreszcze, bo właśnie patrzę w najbardziej stromą i wysoką ścianę w jaką miałem okazję dotychczas spojrzeć. Czuję, że jest to limit, że nie warto więcej ryzykować. Dane nam było otrzymać od natury piękny dar w postaci doskonałych warunków podczas wejścia na Kebnekaise. To nie jest tu takie oczywiste, bo przez większość dni panuje tu zachmurzenie. Zimą do tego dochodzą niskie temperatury, duże opady śniegu, brak widoczności i silny wiatr. My trafiliśmy w ciemno mając jedynie 4 dni na całość przedsięwzięcia. Stan szlaku przed naszym przyjazdem i prognozy po naszym wyjeździe mówiły jedno – trafiliśmy tak idealnie jak to tylko było możliwe. Zważywszy, że Szwecja była ostatnią luką i „żółtą plamą” na mojej liście wysokiej Korony Europy było to piękne ukoronowanie kontynuowanej bez wytchnienia pasji.



Wracając do ramienia Toulpagorni, na którym się znajdujemy – w dole widzimy kropkę. To Rafał, który pożyczył ze schroniska narty. Czekać aż do nas podejdzie wydeptujemy na zboczu wielkiego, uśmiechniętego ludzika. Rafał zjeżdża a my schodzimy do namiotu. Zwijamy biwak i odwiedzając na krótko schronisko maszerujemy w padającym śniegu dalej. Jeszcze tego samego dnia, o zmroku, stajemy przy promach. Namiot rozkładamy dokładnie w tym samym miejscu co pierwszej nocy. Jest jednak cieplej, myślę, że z paręnaście stopni poniżej zera. Rano ustawiam aparat i... Asia wychodzi z nim na zewnątrz porobić zdjęcia biwaku ze wschodzącym słońcem w tle.



Powrót

Po półtorej godzinie marszu jesteśmy w Nikkaluokta. Żegnamy się ze szlakiem na Kebnekaise, oglądając go ze wzgórza z kaplicą. Potem autobusem jedziemy do Kiruny. Jeszcze szybki, spontaniczny wypad do hotelu lodowego, do którego jednak nie wchodzimy ze względu na pośpiech i ceny biletów. Popołudniu wracamy do Kiruny i idziemy na pociąg. Przed nami 18h podróży, z której zdecydowaną większość prześpiemy. Na stacji w Kopping witają nas Aga, Iwonka i mały Michałek. Na drugi dzień powrót samolotem do Polski. Koniec przygody. Pozostają zdjęcia i wspomnienia jak ze snu.

Dziku









Monte Bianco – rocznik 2015

Cel – Monte Bianco – zdobyty

Kiedy – lipiec 2015

Kto – Dziku & Aga & Marcin & Grzechu

Zdjęcia – Dziku

Ktoś mi jest winny opis tego wyjazdu. Ten ktoś wie o tym i jestem przekonany, że niedługo obiecaną relację otrzymam. A póki co zajawka w postaci 2-minutowego pokazu z muzyką.

Powyżej napisane jest kto i co zdobywał. Warto jednak dodać, że była to w mojej opinii powtórka z roku 2009, tylko próba nieco bardziej szalona. Bez zdradzania szczegółów – tło tej akcji było takie, że zgadaliśmy się kiedyś „na Blanca”. I miało być w miarę łatwo, bez wspinaczki, szczelin, ekspozycji. Tylko, że drogę przez Goutera w tym okresie „zamknęli” ze względu na fatalne warunki. Mimo, że był to dopiero początek sezonu, na drodze tej zginęło już parę osób. Mieliśmy do wyboru zrezygnować z wyjazdu lub spróbować inną drogą. Padło na drogę od strony miasteczka Courmayeur. Poniżej wybrane slajdy a ja jeszcze dodam, że im więcej czasu mija od tej przygody, tym bardziej się przekonuję, że to było szaleństwo.

Dziku

<http://dzikumaniak.pl/wp-content/uploads/2016/12/montebianco.mp4>

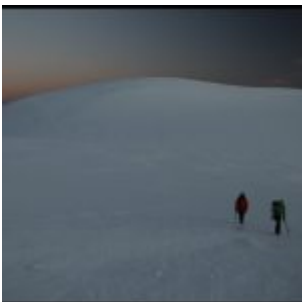
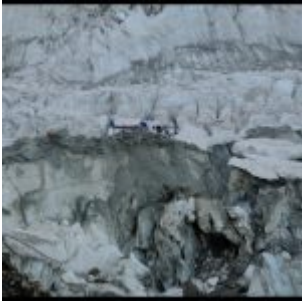
Morskie Oko Ekspres

Cel – Rysy (2499 m n.p.m.) – niezdobyty

Kiedy – luty 2015

Tekst i zdjęcia– Dzik







14-go lutego 2015 pojechaliśmy w Tatry zrobić sobie sesję zdjęciową. Biała suknia, garnitur z bierzowania, kwiaty, ośnieżone szczyty... Na dodatek przypadek sprawił, że to akurat Walentynki. No to już w ogóle kosmos i Romantica na całego. Ale do rzeczy: w sobotę rano, przed sesją postanawiam przeprowadzić szybki szturm na Rysy. Na zdjęciach na późniejszej sesji i tak nie powinno być widać żem spocony. Tym bardziej, że pod koszulą opinał mnie merynos. Nie wiem o której wyszedłem ze schroniska w Morskim Oku, ale wiem, że za późno. A zapowiadał się piękny czas, na bank byłby to jakiś rekord. Jeśli nie najszybsze zimowe wejście, to może chociaż najszybsze walentynkowe. Wystartowałem w polarze, z czekanem w ręce, batonikiem w kieszeni i aparatem na ramieniu. Kurtkę przewiesiłem na biodrach. Wyglądałem jak w sukience, zresztą śmiesznie mnie na trasie skomentowano. Ogólnie to w amoku przebiegłem jeziorko, wskoczyłem na Czarny Staw i jego również przetruchtalem. Potem ostro w górę, tempem zabójczym, roztrącając i przepraszając po kolei ekipy, które mijałem. Tuż przed skalną kopułą, wieńczącą szczyt, postanowiłem zawrócić. Ta końcówka wymagałaby uwagi, bo poślizgnięcie się oznaczałoby nicy z sesji zdjęciowej, za to byłaby wzmianka w kronikach Topru. Szybko skalkulowałem, że od wierzchołka dzieli mnie około 15 minut w jedną stronę, a to oznaczało również 15 minut w drugą. W takim terenie nie przyśpieszę bez ryzyka. A po co ryzykować? Jest 8:26, a ja o 9-tej muszę być w schronisku, więc nie ma wyjścia – z górki na pazurki. Zatem robię zdjęcie typu „selfie” i ogień na dół. Warunki idealne – można sadzić susy. A po jeziorkach znów przebiegłem.

Tak się podpaliłem tą czasówką, że potem przeżywałem jak stonka wykopki. A dziś okazuje się, że nie pamiętam o której wyszedłem. Ale co z tego, skoro i tak szczytu nie zdobyłem. Może jeszcze kiedyś przyjadę w Tatry? Nie wiem, co by się musiało stać, ale kto tam wie.

-END-

Polska – Rysy (ale od Słowackiej strony)

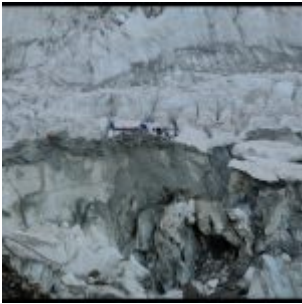
Cel – Rysy (2499 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – czerwiec 2014

Tekst i zdjęcia– Dziku

Kto– Dziku & Magda & Kowalski









Wyjście z Marcinem i Magdą miało być „zwiadem” przed innym, znacznie bardziej ambitnym przedsięwzięciem. Dokładnie 3 tygodnie później planowaliśmy wejść na Rysy z grupą osób z projektu „Razem na Szczyty”. Najwyższy szczyt Polski miał być ukoronowaniem projektu zdobywania Korony Gór Polski z osobami z niepełnosprawnościami. Fotorelację z tego niespotykanego szturmu na Rysy również zamieszczę. Tu jednak skupię się jedynie na tym wejściu, który dla mnie oprócz wywiadu miał inne znaczenie – był to pierwszy raz, kiedy zdobywałem Rysy od Słowackiej strony. Jak się mogłem przekonać, południowa wystawa wcale nie zapewnia suchego szlaku w czerwcu. Śniegu było całe mnóstwo. Dlatego też (patrz mapka) w pewnym momencie ścięliśmy szlak i poszliśmy po śnieżnym stoku w kierunku skał, gdzie pod koniec wisiała nawet poręczówka. Powyżej kamienne schody i schronisko „Chata pod Rysami”. Dalej również sporo śniegu, właściwie jedynie ostatnie metry, gdzie trzeba przekroczyć kilka bloków skalnych były zupełnie odsłonięte. Dało nam to wiele do myślenia, ale założyliśmy, że za 3 tygodnie tyle śniegu nie będzie (błędne założenie!). Na szczyt wszedłem w dzinsach, co na pewno było odpowiednio skomentowane na szlaku. Buty na nogach miałem trekkingowe, ale w woreczku trzymałem japonki, na wszelki wypadek.

-END-

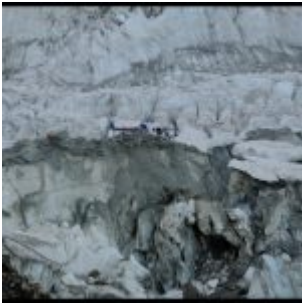
Niemcy – Zugspitze

Cel – Zugspitze (2964 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – sierpień 2007

Tekst i zdjęcia– Dziku







Dziku'2016: Poniżej relacja z sierpnia 2007 roku. Zugspitze był moim 7-mym szczytem Korony Europy, lecz pierwszym położonym w Alpach. Wciąż w amatorskim stylu: bojówki, bawełniane podkoszulki i odciski na dłoniach. A odciski stąd, że pierwszy raz kijków używałem i pętli nadgarstkowych nie używałem, za to bardzo mocno ścisnąłem rączki. Jednak doświadczenia bezcenne, szczególnie jeśli chodzi o lodowiec, który widziałem po raz pierwszy w życiu. Serce mocniej mi biło przechodząc koło niegroźnych szczelin i widząc na nogach nowiutkie raki. Za to mój zestaw do asekruracji był lekko niedopracowany. Koniec liny przechodzącej przez płytkę z otworami chowałem do kieszeni, zamiast przywiązać do uprząży. Więc nie wiem, jak by się to zachowało w przypadku odpadnięcia ale prawdopodobnie zawisłbym jedynie na płytce, a to na pewno nie jest jej przeznaczenie.

Relacja bez zmian, jedynie w ramach transferu ze starej, niedziałającej strony przebrałem raz jeszcze zdjęcia i krótki filmik dorzuciłem.

Dzień 1 – Höllentalklamm – zwiady

Moją bazą wypadową przez te kilka dni było pole namiotowe w Garmisch-Partenkirchen Grainau. I tu w środę zostałem (na własne życzenie) pozostawiony przez przyjaciół jadących na te parę dni do Innsbrucka. Kamping położony jest na wysokości ok. 700 m n.p.m., tym samym aby wdrapać się na Zugspitze do pokonania było ponad 2200 metrów przewyższenia. No i przydałoby się jeszcze wrócić, a uparłem się żeby nie korzystać z kolejki i na dodatek nie schodzić tą samą drogą. Na najwyższy szczyt Niemiec udało mi się wejść dopiero ostatniego dnia wycieczki.

A pierwszego dnia pokonałem sobie tylko małą część drogi, docierając do wejścia do wąwozu Höllentalklamm (nie wiedziałem

jeszcze, że będę tam chodził codziennie – w sumie 4 razy). Pozachwycałem się też widokiem szczytów pasma Wettersteingebirge z drogi na Kramerspitz – takiej niemieckiej Gubałówki, tylko wyższej.

Dzień 2 – Próba nr 1

Dzisiaj to mogłem już przyatakować szczyt i mieć z głowy, ale jakoś nie wyszło. Niby to zabłądziłem, niby to mgła straszna, niby to pogoda taka nie bardzo, no po prostu nie wyszło i już. I dobrze. Bo o 14 zaczęła się jakaś bawarska pora deszczowa, która zastała mnie nie wysoko w górach ale 50 metrów od Aldika (znajdującego się naprzeciwko pola namiotowego), gdzie zaopatrzyłem się w uzupełniacze płynów.

Obudziłem się po paru godzinach na prawdziwym wodnym łóżku. Każdy ruch powodował falę wypływającą spod namiotu i uderzającą o najbliższy „brzeg”. Jakkolwiek hipernieprzemakalny Piesek Leszek prawdopodobnie przetrwałby noc nawet zatopiony w jeziorze i obciążony kamieniami, to falująca podłoga przyprawiała mnie o chorobę morską.

Po dłuższej mobilizacji, a dokładniej – po udaniu się do kibelka – postanowiłem zadziałać. Akcja była krótka lecz efektywna. Niezbędnymi do powodzenia operacji były następujące działania:

1. wyjście z plecakiem z namiotu
2. wyciągnięcie szpilek sztuk 12
3. przesunięcie namiotu o parę metrów w miejsce gdzie głębokość wody nie przekracza 5 cm
4. wbicie szpilek sztuk 12
5. wejście z plecakiem do namiotu
6. wypicie browarka

Dzień 3 – Próba nr 2

Do 6:30 pada. Potem lecę do góry. Niestety pogoda nie poprawia się ani troszkę. Po dotarciu do wejścia do Höllentalklamm pan

w okienku odradza wyjście na Zugspitze w taką pogodę. Mówi, że „tomorrow better”. No dobra, zatem „see you tomorrow”, no bo co? Miejscowym mam nie ufać? W drodze powrotnej obłazą mnie salamandry. Jutro ostatni dzień i ostatnia szansa.

Po „spacerze” do schroniska pod szczytem Kramerspitz upewniam się, że podane czasy przejść na tabliczkach czy drogowskazach mogę dzielić przez 2.

Dzień 4 – Do trzech razy sztuka

O świcie wylatuję z namiotu. Po 7 godzinach marszu i łatwej wspinaczki (stalowe liny, kłamry i pręty były prawie przez całą długość trasy) stałem na szczycie. Widoczki ładne ale ten betonowy moloch na wierzchołku i tłumy ludzi, które wjeżdżają kolejkami – ech...

Przy schodzeniu zaczęły się przysłowiowe schody. Miałem serdecznie dość. Poza mną nikt nie schodził tą drogą do Garmisch. Widać inni wcześniej zauważyli że jest to trasa raczej na 2 dni. Tak więc grzałem samotnie w dół przez dolinę Reintal. Nachylenie na większości trasy bardzo małe, ale długość drogi jaka mnie czekała powodowała że byłem coraz bardziej spękany. Już miałem wizję jak biegam z czołówką nocą po Alpach. Po paru godzinach szybkiego marszu albo błyskawicznego zsuwania się po stromych piargach zacząłem bawić się w grę „wieviel stunden, czyli zapytaj Niemca jak daleko do Garmisch”. Mijając takiego Niemca zmierzającego w górę do któregoś z pobliskich schronisk zagadywałem o czas dojścia do miasta, po czym obserwowałem jak cmoka i kręci głową a następnie słyszałem bardzo niezadowolającą mnie odpowiedź. Gdy o godzinie 17 kolesie powiedzieli, że czeka mnie jeszcze 5 godzin marszu to już było niepokojące (o 20:30 zachód słońca). Ale gdy godzinę później usłyszałem od innego turysty że jeszcze 6 godzin, to ledwo się powstrzymałem żeby go nie dziabnąć kijkiem w lewe oko. Dodatkowo miałem świadomość, że czeka mnie jeszcze kilkukilometrowy marsz przez

miasto do pola namiotowego na drugim końcu. Dzięki kijkom trekkingowym, które jakimś cudem się nie rozpiędziły, zacząłem sadzić 7-milowe kroki.

Pod koniec trasy miałem wielkie szczęście spotkać bardzo miłą parę Niemców, z którymi idąc jeszcze ok. 1,5 godziny dotarłem do skoczni narciarskiej, już w Garmisch-Partenkirchen. Tam mieli oni zaparkowany samochód, i mimo tego że było im to zupełnie nie po drodze zawieźli mnie przez całe miasto na pole namiotowe.

A na wejściu na kamping przywitał mnie „Quechua Team” – 4 osobowa przesympatyczna ekipa z Wrocławia, koło której przed paroma dami miałem szczęście się rozbić i ich poznać. Piwo i kolacyjka, którymi natychmiast mnie poczęstowali, były czymś wspaniałym, szczególnie po 15 godzinach marszu i wspinaczki. Tylko trochę dziwnie mogli na to popatrzeć Niemcy którzy mnie przywieźli. W końcu po drodze mówiłem im jak to jestem tu sam i jak to marzę tylko o herbacie gdy już dotrę do namiotu.

Podsumowując króciutko, to wyszedłem z „domu” o 6:15, wróciłem jakoś tak w godz. 21-22. Wg mapy wyszło mi, że przebyty dystans w poziomie to ok. 30 km (gdyby nie wyżej wspomniany autostop byłoby jeszcze co najmniej +5 km). No i to rekordowe jak dotychczas przewyższenie.. 2200 m w górę i 2200 w dół. Lepszym rozwiązaniem byłoby przenocować w którymś ze schronisk po drodze. Wtedy na drugi dzień podziwiałbym dolinę Reintal, a nie jej nienawidził.

Dzień 5 – Szaleńcy z Austrii

W niedzielę podjechali po mnie nieocenieni: organizator wycieczki Paweł, kierowca bolida Kasia, i pilot kierowcy Laura. Ich pobyt w Austrii był również w 100% udany.

Ok, na ten weekend wystarczy. Oby takowych jak najwięcej.

– END –

Styl Broalpejski

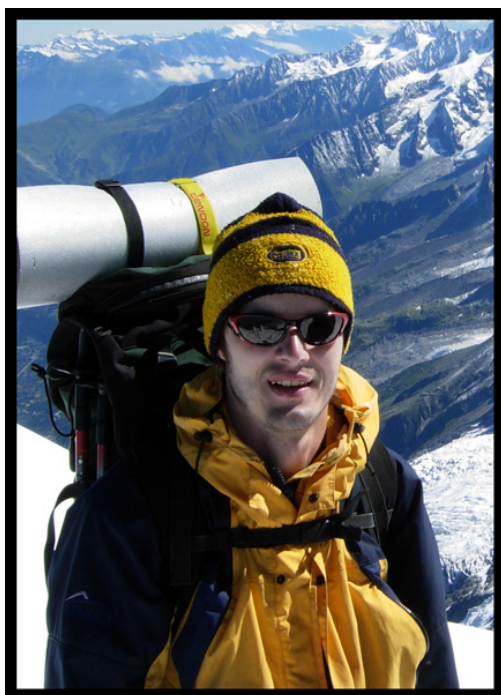
Cel – Francja – Mont Blanc – zdobyty

Kiedy – lipiec 2008

Kto – Dziku & Damian & Krzysiek

Tekst – Dziku

Zdjęcia – Dziku





Styl broalpejski z Damianem i Krzyśkiem wypróbowaliśmy już w lutym na Rysach ale nadszedł czas na sprawdzenie jego skuteczności w Alpach. I tym razem okazał się niezawodny, chociaż kiedy w poniedziałek w środku dnia popijaliśmy piwko na polu namiotowym w miasteczku trudno było uwierzyć że noc spędzimy ponad 2 tys. metrów wyżej.

A tak po kolei to: w sobotę rano przyjeżdżamy na pole namiotowe w Chamonix. Po dotarciu cieszymy się że wyszło słońce bo w trasie często lało. I dobrze, że zdążyliśmy się ucieszyć, bo następnie lunął deszcz i padał przez następne parę dni. Przez resztę soboty, niedzielę i połowę poniedziałku: deszcz, spanie, picie, deszcz, spanie, jedzenie, deszcz, spanie, deszcz, spanie, picie, deszcz, deszcz. Acha, było urozmaicenie w postaci burzy.

W poniedziałek koło południa Damian wychyla głowę z namiotu i stwierdza, że przed wejściem w magiczny sposób pojawił się karton piwek. Zanim je otworzyliśmy postanowiliśmy poczekać, czy przypadkiem nie wróci po nie poprzedni właściciel. Czekaliśmy tak dobre 3 sekundy ale nikt się nie zgłosił, więc otworzyliśmy po buteleczce (mają tam megaciotpiweńka – 0,25 l). Reszta potoczyła się jak w lutym nad Morskim Okiem. Po

piwkach nastąpił atak ADHD, a że akurat przestało padać to wyskoczyliśmy z namiotu i zaczęliśmy się pakować w góry. I tak – zamiast rozpocząć przygodę z Blankiem o świcie to my po południu fuksem pakujemy się do ostatniej kolejki i tramwaju do Nid d'Aigle – jakieś 2400 m. n.p.m. Wieczorkiem dochodzimy do ok. 3200 m. n.p.m – trochę powyżej schroniska Tete Rousse – i tu rozkładamy namiot.

We wtorek o 7 rano wchodzimy w kuluar. Tu zazwyczaj panuje niebezpieczeństwo oberwania kamykiem. Ale nie w tych dniach, bo kiedy na dole padał deszcz tu na górze x-metrowa warstwa śniegu przykryła wszelkie czające się na życie turystów kamyczki. Dochodzimy do schroniska Gouter i jako, że pora była wczesna ruszyliśmy dalej. Od wysokości ok. 4000 m. n.p.m. trochę nas sponiewierało. Skutek wysokości, całkowitego braku aklimatyzacji i ciężkich plecaków. Dowlekliśmy się do Vallota na wysokości 4362 m. n.p.m. W schronie ja i Krzysiek leżeliśmy sobie bez ochoty na nic. Za to Damian się opalał, biegał po śnieg i gotował pierożki.

W środę o świcie w całkiem dobrej formie poszliśmy na szczyt. Ogólnie to po lewej ładny wschód słońca a po prawej cień Blanca na chmurach. I mnóstwo ludzi. Trudności technicznych nie zaobserwowano. Ale wysokość może dać nieźle po łbie. Do tego uzależnienie od pogody więc zdobycie tego szczytu wcale nie jest sprawą prostą czy oczywistą. Wykorzystaliśmy 2-dniowe okienko pogodowe i dzięki temu wypad zakończył się najlepiej jak mógł. Po zejściu do Chamonix znów rozpoczęła się pora deszczowa. I znów – ale już z pełną satysfakcją – deszcz, spanie, picie, deszcz, jedzenie, picie, picie..

[Tekst z lipca 2008]

-END-

[Komentarz z września 2016]

„Wy tam strasznie dużo pijecie” – usłyszałem po którejś prezentacji. I wtedy uświadomiłem sobie, że w Polsce nie można

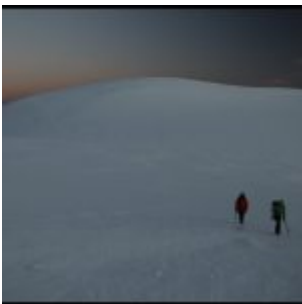
nadużywać słowa „pić”. Nawet odmieniając przez różne przypadki. No bo pierwsze co się nasuwa po przeczytaniu tej relacji to to, że narąbani pobiegliśmy na Mont Blanc. A ja nic na to nie powiem. Bo mi się nie chce tłumaczyć. Tylko niech nikt nie próbuje po pijaku przejechać autem tysiąc km i potem zdobywać szczyty.

Ważniejszą kwestią, z dzisiejszego punktu widzenia, jest dla mnie to, że podjęliśmy się sporemu wyzwaniu. Dziś sobie uświadomiłem, że miałem na koncie tylko jeden szczyt 3-tysięczny. Przed Mont Blanc tylko raz, z grupą nieznajomych w dodatku, związałem się w górach liną. To, że nie było poważniejszych skutków niedociągnięć organizacyjnych lub po prostu porażki, zawdzięczamy, wg mnie, przede wszystkim naszej wytrzymałości. A i szczęście na pewno dopomogło. Podstawowy błąd, o którym nigdy nie zapomnę to to, że na całodzienną walkę ze szczytem wybraliśmy się mając... po 0,5 litra płynu na głowę (na wszelki wypadek dodam, że chodzi o herbatę).

Do Chamonix zeszliśmy jeszcze tego samego dnia, którego zdobyliśmy szczyt. Pamiętam też, że była jakaś historia z jedzeniem. A właściwie jego brakiem. Na dole nie mieliśmy żadnych zapasów, a sklepy były już pozamykane. Na pewno kiedyś jeszcze spotkamy się z Damianem i Krzyśkiem i powspominamy te i inne historie związane z naszym pierwszym czterotysięcznikiem. Oczywiście przy herbacie.

Z tym lekkodusznym podejściem wiążą się też pewne skecze. Jak np. konfrontacja na wysokości 3200 m Damiana w krótkich spodenkach z Azjatami w puchowych strojach. Albo kiedy leżąc na karimacie przed Vallotem wykrzesiałem z siebie siły by wstać, ściągnąć koszulkę i zupełnie poważnie powiedzieć: „Zrób mi zdjęcie na naszą klasę”.







Zdjęcia kolejno rzędami:

1. Podejście do Tete Rousse (zdjęcie spod schroniska)
2. Obozowisko przy Tete Rousse
3. Spojrzenie w kierunku słynnego kułuaru Rolling Stonesów
4. Bionassay
5. Droga od starego schroniska Gouter na Dom du Gouter
6. Wysokość ok. 4000 m

7. Podejście na Dom
 8. Spojrzenie z Dom du Gouter na Vallot i na szczyt Mont Blanc
 9. I widok w stronę przeciwną, z Vallota na Dom du Gouter.
 10. Aguille du Midi
 11. Pierożki w Vallocie
 12. Mrówki po sznurku na szczycie
 13. Cień MB na porannej mgiele
 14. Ekipa na szczycie
 15. Dzik na MB po raz pierwszy
 16. Zejście granią
 17. Widok na obozowisko powyżej starego schroniska Gouter.
 18. Dzikątko
 19. Krzyś
 20. Damianek
-

...coś się zaczyna

Cel – Litwa – Aukštasis kalnas – zdobyty

Kiedy – sierpień 2016

Kto – Dziku & Aga & Dzięczek

Tekst – Dziku

Zdjęcia – Dziku & Aga









To już 5 lat, odkąd zwolniłem z Koroną Europy. Wynikało to z tego, że długa lista oczekujących gór skurczyła się. Inne projekty wyglądały bardziej zachęcająco. I tak, kiedy w 2011 roku poradziliśmy sobie z jednym z największych wyzwań – Narodną (zimną na Uralu Subpolarnym!), potem we wrześniu odhaczyliśmy Płw. Iberyjski i tempo zmałało drastycznie. Wcale nie oznacza to, że było nudno. Nie licząc powtórek na tfu tfu Gerlachu, to np. Śnieżka i Rysy z projektem Razem Na Szczyty były wyzwaniem. Prawdziwą przygodą była też powtórka Drogi Papieskiej na Monte Bianco. W międzyczasie do zdobyczy dołączył w 2014 jeden nowy szczyt – z „tzw. Państwa Islandzkiego”. Jednak wejście było mało spektakularne – w gęstej mgle z nosami w GPS-ie.

Dopiero 1-go sierpnia 2016 zdecydowaliśmy się na kolejną

zdobycz – litewską Wysoką Górę. Całe imponujące 294 m n.p.m., ale to przecież wciąż część projektu. W dodatku w doborowym towarzystwie – małego Dzikka. I nie chodzi mi tu tylko o gumową zabawkę, która (od Kosowa 2008-go roku) towarzyszyła mi na szczytach Korony Europy. Zdjęcie z koszulką i hasłem „never stop exploring” (przypadek?) staje się mottem. Nic się nie kończy, coś się zaczyna. Przed nami kolejne przygody. Doszła tylko jeszcze jedna torba ze „szpejem”. A w niej pieluchy i inne niezbędne akcesoria. Duży bagażnik okazuje się świetnym zapleczem – kantyną, placem zabaw i sanitariatem. W głowie kotłują się już pomysły. Świat stoi otworem. Never stop exploring!

Dziku

– END –

Herr Flick Memorial

Cel – Śnieżka (1602 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – marzec 2016

Kto – Dziku

Tekst– Dziku

Zdjęcia– Dziku







7 III 2016

0 godz. 6:10 wychodzę z parkingu w Szklarskiej Porębie. Przede mną długi marsz. W planie mam przejście grzbietu Karkonoszy, wejście na Śnieżkę i zejście do Karpacza. Letni czas wg mapy to 10,5h. Trasę tę pokonałem już zimą kilkakrotnie, ale za

każdym razem z noclegiem gdzieś po drodze. Dziś ma pójść całość na jeden strzał.

Jest pochmurno, mgliście i słyszę, że w koronach drzew wieje. Nie zniechęca mnie to, spodziewałem się, że wiatr nie opuści mnie ani na chwilę. Pierwszy przystanek robię w schronisku na Hali Szrenickiej. Trasa do tego miejsca prowadzi wygodną drogą. Śnieg ubity, nie jest ślisko. Odpoczynek jest krótki, tyle żeby skorzystać z kibla. Przed drzwiami zjadam napoczęte wczoraj jabłko. Nawet nie wchodzę na schody.

Trasa na Szrenicę znośna. Jeśli nie gubię udeptanej, zawianej ścieżki to jest dobrze, zapadam się co najwyżej do kostek. W gęstej mgle i wyraźnie odczuwalnym wietrze pnę się do góry. Mijam odbicie na Szrenicę, dochodzę do Śnieżnych Kotłów i czuję jakby wiatr słabnął. A jeszcze chwilę wcześniej otulałem twarz, bo zaczynała się pokrywać szronem. Wspominam moje pierwsze przejście tej trasy, kiedy mniej więcej w tej okolicy zorientowałem się, że pół twarzy mam pokryte warstwą lodu. Niestety maszerowałem wtedy w „złą” stronę, bo najczęściej wieje z zachodu na wschód. Miałem na sobie wtedy gumową kurtkę, sztruksy i glany. Nie jestem pewien czy zdawałem sobie sprawę, że jestem w górach.

Przy stacji nadawczej nie przerywając marszu zjadam bułkę. Widoczność bliska zera, więc nie tracę też czasu na zdjęcia. Pojawia się jednak inny problem – zaczyna mnie rwać w kolanie. Myślę, czy nie zrobić prowizorycznej kuli i nie kuśtykać najbliższym zejściem na dół albo zawrócić. Wyginam nogę na wszystkie strony szukając optymalnego ustawienia i udaje mi się zminimalizować ból. Przez mgłę powoli przebija się słońce, a wiatr słabnie niemal do zera. Szlak w większości przewiany, torowania niewiele, no i ciepło. Nie chcę zmarnować tak dobrych warunków. Idę dalej.

Po 4h od wymarszu jestem na Przełęczy Karkonoskiej. Do tego momentu nie spotkałem nikogo. Teraz pojawili się ludzie na biegówkach jako pewne urozmaicenie tego samotnego marszu. Mija

mnie rozpędzony Czech, przewraca się i wbija twarzą w śnieg. Pytam czy ok, odpowiada coś niezrozumiale. Tak to już jest ze zjeżdżaniem na biegówkach.

Jeszcze przed przełęczą wraca ból kolana. Już na dobre. Od tej pory idąc staram się nie zginać nogi. Herr Flick na Równi Pod Śnieżką. W ten sposób dochodzę do Słonecznika. Przede mną nareszcie widoczna Śnieżka. Teren na najbliższe godziny niemal płaski więc mogę powłóczyć nogą. Tylko wtedy nie boli. Droga do Śląskiego Domu dłuży się paskudnie. Kiedy tam wreszcie docieram robię dłuższy postój. Zjadam resztę bułek i wypijam do końca co zostało w termosie. Przede mną finisz.

Wchodzę na szczyt po 7 godzinach od wymarszu ze Szklarskiej Poręby. Zejście do miasta zajmie mi tylko godzinę, ale jest najgorsze, bo najbardziej bolesne z dzisiejszych doświadczeń. Nogę muszę mieć wyprostowaną więc zsuwam się trzymając się łańcuchów. Mijam Śląski Dom, Kopę i czarnym szlakiem szybko w dół. Niestety nie ma już łańcuchów, których mógłbym się przytrzymać. O godz. 14:10 wchodzę na asfalt w Karpaczu. Podjeżdża po mnie Agnieszka. Już nie muszę iść, jedynie na obiad i do sklepu po coś do picia. I jak na złość wszędzie schody!

Bilans:

8 godzin

31,5 km

1520 metrów w górę

1420 metrów w dół

Jestem piekielnie z siebie zadowolony. Wprawdzie z powodu nogi musiałem odpuścić podbieganie, ale dzięki temu całość poszła równo, bez pocenia i uczucia zmęczenia. Jednak po powrocie spałem w nocy jak zabity. Tylko z niezrozumiałych względów śnili mi się kibole, którzy rzucali we mnie kamieniami. Nie wiem co gorsze, bo noc wcześniej ganiał mnie po osiedlu bandyta z mieczem samurajskim i rozcinał ludzi na pół a mnie tylko w plecy zranił. Co będzie dziś?

Stawiam, że mnie kosmici porwą...

– END –

3 zbłąkanych pod Rysami

Cel – Rysy (2499 m n.p.m.) – niezdobyty

Kiedy – maj 2007

Kto – Dziku

Tekst– Dziku

Zdjęcia– Dziku









Ledwo zdobywszy wiedzę na Zimowym Kursie Turystyki Wysokogórskiej zaopatrzyłem się w nowiutki, błyszczący sprzęt. Liczę, że poradzę sobie z zapięciem moich pierwszych raków i bez przeszkód zdobędę Rysy. Jestem tym żelastwem tak zachwycony, że co raz to najeżdżam na nie obiektywem nagrywając filmiki i robiąc zdjęcia. Jakbym nie wierzył, że tam są, albo jakby miały zaraz zniknąć.

Przy podejściu na Czarny Staw mijam turystów, słyszę komentarz a propos sprzętu i jestem z siebie dumny. Mam w ręku czekan. Jestem gość. Nikt nie wie, że to moje pierwsze przetarcie poza kursem. Na szlaku zalega jeszcze duża ilość śniegu. Gonię do góry i czuję się coraz bardziej słabo. Ewidentny brak kondycji no i dodatkowo wychodzi piwkowanie ze szwagrem poprzedniego wieczoru. W pewnym momencie słyszę dudnienie i zatrzymuję się, myśląc, że to odgłosy imprezy w Morskim Oku. Coś nie tak, kto by tam robił dyskotekę? Dociera do mnie, że to co słyszę i czuję to puls. Jakby mi miała zaraz żyłka pęknąć. Zwalniam tempo obawiając się o zdrowie.

Ze zmęczenia lub z lenistwa skupiam się na śladach na śniegu. Idąc wpatrzonego w odbite podeszwy butów nie zwracam uwagi, że

kieruję się w złą stronę. Wkrótce dostrzegam dwie osoby w pobliżu grani. Doganiam ich i w ten sposób poznaję Krzyśka i Damiana. Chłopaki rozpoznają mnie z zamieszczonych relacji na stronie. Z wejścia na Rysy rezygnujemy i razem schodzimy na dół. Poniżej Buli obserwujemy dziwne zjawisko. Mianowicie pod górę pnie się po śniegu kobieta w kapeluszu. Na czworakach, bo bez czekana. Pierwsza myśl to, że ktoś ją tu z helikoptera rzucił. Jak już wspomniałem sam jestem tu początkujący ale to co widzę to jakaś abstrakcja. Namawiamy tę panią na zejście. Damian pożycza jej kijki trekkingowe. Turystka ma mu je oddać w schronisku. My schodzimy dalej i stwierdzamy, że skoro dziś byliśmy tak zgrani w tej naszej nieudolności to trzeba iść za ciosem i pojechać na jakiś 4-tysięcznik w Alpach. Ale wcześniej trzeba wyrównać rachunki tutaj. Podczas prawdziwej zimy.

I tak, w lutym 2008 roku spotykam chłopaków po raz drugi. Tak jak ustaliliśmy zdobywamy Rysy.

Zaś po raz 3-ci Krzyśka i Damiana widzę latem na Bielanach Wrocławskich. Pakuję się wtedy z plecakiem do ich Forda Ka, jedziemy do Chamonix i wchodzimy na Mont Blanc. No bo przecież umawialiśmy się na jakiś 4-tysięcznik.

Tak zapamiętałem moją pierwszą przygodę z Rysami sprzed 9 lat. Była to zaledwie kilkugodzinna przygoda, zryw, w dodatku zakończony porażką. Czy na pewno? Pomyłka i niezdobyty wówczas szczyt zaowocował wyjątkową znajomością i wspomnianymi sukcesami. Może czasem trzeba zrobić jeden krok w tył, by potem uczynić dwa do przodu?

PS. Starsza pani ze zbocza Rys zeszła bezpiecznie. Może nasz odwrót i to spotkanie uratowało jej zdrowie, albo i życie? Tym łatwiej było odżałować Damianowi kijki, bo niestety jeden podczas zejścia pękł. Ale co tam straty w sprzęcie, ważne, że w ludziach strat nie było.

— END —